

Książkowisko próżności

Komedia nieromantyczna



Zbigniew Górniak



Książkowisko próżności

Copyright © Zbigniew Górniak

Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I

Szczecin 2026

ISBN: 978-83-68498-36-3

e-ISBN: 978-83-68498-37-0

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych. Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Projekt okładki i stron tytułowych

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Ilustracje na okładce

iStock: alex-mit / Freepik

Redakcja

Ewa Hoffman-Skibińska

Korekta

Natalia Szoppa

Monika Całka | kropkaispolka.pl

Projekt typograficzny, skład i łamanie

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo

Ostre Pióro

www.ostre-pioro.pl

Zbigniew Górniak

**Książkowisko
próżności**

Komedia nieromantyczna

TERAZ

Książko polo. To pierwsze określenie, jakie przychodzi ci do głowy, gdy tylko wkraczasz na teren targów. Przychodzi i już tam pozostaje, bo nie ma sensu szukać lepszego. Osacza cię książko polo. Nic, tylko brać nogi za pas.

Kilka alejek wytyczonych przez tanie bazarowe namioty, parujące teraz wilgocią po nocnej ulewie. Pod nimi turystyczne stoliki zawałone makulaturą oprawioną w lakierowaną tekturę. Coraz gorsze książki w coraz droższych okładkach. Im grubsze, tym głupsze. Krzykliwe tytuły tłoczone krojami Old English Text lub Blackletter mającymi nawiązywać do średniowiecznych manuskryptów.

I ci naganiacze, obnoszący na plakietkach dowartościowujące ich tytuły marketing menedżera czy sejsls adwajzera. Nieodmienne radośni, jakby poszerzano im uśmiechy brzytwą. Niektórzy w stożkowatych czapkach wrózek, inni ze szpiczastymi uszami elfów. Do tego przesterowane nagłośnienie, zapach gofrów i jarmarczna gawiedź. Regionalne Targi Książki. Święto literatury. Trzydniowe kulturalne wow! Książko polo.

Zupełnie jak któryś z tych bazarów przy granicy zaraz po upadku NRD. Na przykład ten w Słubicach. Albo w Zgorzelcu. Tyle że bez tego całego marketingowego zadęcia. Pamiętasz doskonale te miejsca, bo wysyłano cię tam na reportaże o „młodym polskim kapitalizmie”, a ty uwielbiałeś je pisać. Nie miałaś jeszcze trzydziestki, napędzała cię energia zmiany i wszystko wokół było dużo bardziej autentyczne, choć dużo brzydsze niż dziś.

Krocząc pośród jarmarcznego zgiełku, uzbrajasz się w minę, która ma komunikować, że znalazłeś się tu mimo woli. Że jesteś osobą zewnętrzną, kimś w rodzaju kuriera podrzucającego paczkę lub siatkę z zakupami.

Wyrzało słońce – październik daje kulturze ostatnią szansę na wyjście w plener.

Masz na sobie znoszone Levisy, które tak bardzo lubisz, i wojskową kurtkę M65 Jacket wzorowaną na tej, jaką nosił Robert de Niro w *Taksówkarzu*. Brakuje ci tylko irokeza na głowie, ale za to podgoliłeś boki na komandosa. Gdyby ktoś zapytał, skąd taka stylizacja, nie umiałbyś odpowiedzieć. Może to jakiś kod kulturowy, wyniesiony z lat szczenięcych, nakazujący dopełniać ważnych rytuałów w ściśle określonym stroju? Jako trzynastolatek obejrzałeś *Taksówkarza* po wielokroć, w tym trzy razy z rzędu w kinie typu „non stop”. Wszedłeś dzięki sfalszowanej legitymacji szkolnej.

Na nogach sportowe buty z Decathlonu, tanie, ale wygodne, na wypadek niewykluczonej ucieczki.

Na ramię zarzuciłeś plecak z koziej skóry w kolorze jasnej ochry. Kupiłeś go przed czterema laty w Tunezji, gdzie z kobietą poznaną na Tinderze spędziłeś dwa tandetne tygodnie na turnusie *last minute*. Wiesz, że dodaje ci on szyku, sugerując inteligenckość i styl. Bywa, że twoi rozmówcy obmacują wzrokiem skórę w poszukiwaniu markowego logo. Wtedy przekłuwasz ich próżność uwagą, że plecak kosztował zaledwie pięć dolarów, a kupiłeś go w pustynnej chałupce ulepionej z krowiego gówna.

Właśnie przystajesz i do niego zaglądasz. Chyba po raz piąty od rana. Chcesz sprawdzić, czy to, co włożyłeś do środka wczoraj wieczorem, wciąż tam jest. Jakżeby miało nie być? Jest!

Zamykasz plecak i ruszasz dalej. Maszerując, sięgasz po wysłużonego Samsunga i wysyłasz sam do siebie esemesa o treści: „Książko polo”. Kolejna notatka do powieści, na jaką masz chrapkę, ale nie masz sił. Hasło klucz, które może kiedyś się przyda. Spisujesz te hasła w folderze „Pomysły”. Oczywiście, jeśli chce ci się je w ogóle odczytać.

Powieść! Chryste Panie! Od ośmiu miesięcy nie wyszedłeś nawet poza prolog sagi o lwowskich zegarmistrzach, mimo że w tym czasie wysłałeś do siebie chyba ze sto esemesów.

WCZEŚNIEJ

Gdyby to był film fabularny, nastąpiłoby cięcie, a ekran zanurzyłby się w retrospekcji. Lubisz retrospekcje i lubisz pisać scenariusze, choć nikt już ich u ciebie nie zamawia. Zresztą tych zamówionych nie przytrafiło się wiele, zaledwie trzy. Jeden dla telewizji publicznej i dwa dla komercyjnych. Komedia, kryminał, dramat. Żadnego nie zrealizowano, ale za każdy sumiennie zapłacono. Wystarczyło na dwa lata życia w jako takim komforcie.

Tylko od czego by zacząć taką retrospekcję? Od rozmowy z Afryką, gangsterem, który czytuje „Tygodnik Powszechny”? A może od telefonu do Jana Śliwki, wydawcy? Bo przecież nie od dziecięcych traum, to już banal i psychologiczna taniocha gorsza od słuchania opowieści o cudzych snach. Te oklepane czarno-białe obrazki, w których pijany ojciec wyszarpuje pas ze spodni, by złać nim dupę zastraszonego chłopca, a potem legnąć w wyrku, obowiązkowo pod wizerunkiem Najświętszej Panienki. Nikt nie ma cierpliwości tego oglądać, choć ty akurat miałbyś na ten temat sporo do powiedzenia.

Twojego ojca do szału doprowadzał klekot maszyny, na której wystukiwałeś pierwsze, niezdarne jeszcze, licealne opowiadania. Gruchot z demobilu, wycyganiony przez matkę w szkole, gdzie uczyła polskiego. Odkupiła maszynę za grosze, a pan Staszek, szkolny woźny i złota rączka, zreperował ją za trzy paczki Ekstra Mocnych z filtrem. Pewnego dnia ojciec, oszalały z niedopicia, wyrzucił maszynę przez okno. Spadła na dach małego fiata, który – jak się okazało – należał do dzielnicowego. Ojciec miał potem sporo kłopotu

z udobruchaniem władzy. Zdaje się, że sprawę załatwiła ostatecznie wódka. Tak jak ją sprowokowała.

Zatem nie bandzior Afryka, nie cwaniak Śliwka, nie ojciec pijak. Więc kto? Lub co? Najlepiej zacząć od targów. Od targów książki. Tych samych, w tym samym mieście i miejscu – tylko półtora roku wcześniej. Też książko polo, ale mniej jeszcze rozdokazywane, mniej tandetne, nie tak łakome nakładów i zasięgów jak dziś. To zaczynaj.

Cudowna kwietniowa niedziela. Siedzisz pod namiotem, przy stoliku wydawnictwa G&K, na którym ułożono schludny stosik twojej *Anonimowej*. Zastanawiasz się, dlaczego – mimo całkiem przychylnych recenzji, jakie dostała na KochamyCzytac.pl i Literki.pl – nikt nie chce jej kupować. Od rana sprzedałeś zaledwie cztery egzemplarze, z czego trzy kupili twoi znajomi. Doceniasz gest, jasne, ale masz też świadomość, że jest to kwestia koleżeńskiej konwencji, może i litości. Nawet nie przeczytają książki.

G&K to skrót od Groch z Kapustą; nazwa, którą – w chemicznym stanie rozbawienia będąc – wymyślili w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku założyciele oficyny: Andrzej Groch i Marek Kapusta. Takie ich wyzwanie rzucone poważnym wydawnictwom, lubiącym akcentować każde „ę” i „ą”. Żadnego profilowania, zero ambicji – wydajemy tylko to, czego pragną czytelnicy. Jeśli chcą czytać noblowskie strumienie świadomości, zalejemy ich nimi. Jeśli sprośności z pogranicza porno – *voilà!* Poezja? Proszę bardzo – rymujemy. Romansidła? Oto i one – jedzcie i płaczcie! Groch z kapustą doprawiony kiczem lub filozofią na najwyższym poziomie.

Rynek nagroził ich za to milionami, ale nie zdążyli się nimi nacieszyć. Ford Mustang prowadzony przez Grocha

wyleciał z zakrętu śmierci między Szklarską Porębą a Świeradowem-Zdrojem. Kapusta siedział obok kierowcy. Dwa trupy na miejscu. prostytutka, wieziona na tylnym siedzeniu, wyszła z wypadku bez szwanku. Spadkobiercy wspólników sprzedali wydawnictwo, a nowi właściciele zmienili nazwę na G&K, żeby brzmiało bardziej nobliwie i salonowo.

Z działem marketingu G&K umówiłeś się, że zaraz po spotkaniu autorskim, którego byłeś głównym bohaterem, a prowadził je zmanierowany cymbał z lokalnej telewizji, usiądziesz na kilka godzin pod namiotem wydawnictwa, żeby, jak to ujęto, „dać książce twarz”. No i rozdawać autografy. Miała ci towarzyszyć asystentka.

– Nasza mała Natalka – powiedziała szefowa reklamy. – W pełni do twojej dyspozycji – dodała, cokolwiek to miało znaczyć.

Problem w tym, że godzinę spotkania wyznaczono nadzwyczaj niefortunnie, a może wręcz lekceważąco względem ciebie.

Bo kto przychodzi o dziewiątej rano w niedzielę na spotkanie z autorem prozy, i to negatunkowej? Twoja *Anonimowa* nie cuchnie trupem, nie ma w niej dynamicznych plot twistów – jak recenzenci nowego chowu nazywają zwykle zwroty akcji. To psychologiczna opowieść o kobiecie, która latami pisze po nocach anonimowe donosy na sąsiadów, współpracowników, znajomych, a nawet na dzieci i męża. Na co dzień jest cenioną i wielbioną lekarką. Obrabia nawet swoich pacjentów, a lista adresów, pod które śle meldunki, jest długa jak spis ludzkich grzechów. Od służb specjalnych, przez rozliczne ministerstwa, dyrekcje, redakcje i administracje, po sanepid, policję i straż miejską.

Blurb na okładce, dynamiczny i wytłuszczony, obiecuje „pierwszorzędną literacką podróż przez zakamarki człowieka i duszy”. Napisał go znany autor bestsellerów, a G&K zapłaciło mu więcej, niż ty potrzebujesz na wymianę zepsutego bojlera. Od miesiąca kąpiesz się w zimnej wodzie, rozpowiadając znajomym, jaki to z ciebie mors.

Ale nawet gdyby *Anonimową* napisał wskrzeszony Leopold Tyrmand, nie miałby o tej porze szans na frekwencję. Nie o dziewiątej rano. Nie w niedzielę.

Przyszło dwanaście osób, trzy wyszły przed końcem. Policzyłeś je ze sceny, na której cymbał w mokasynach bez skarpetek odpytywał cię z książki, jakiej – nabrałeś pewności już po pięciu minutach – nawet nie przeczytał.

Teraz siedzisz przy stoliku wydawnictwa, a „nasza mała Natałka” właśnie wydłubuje z plastikowej zgrzewki butelkę mineralnej i stawia ją przed tobą razem z firmowym kubkiem wydawnictwa. Za logo, które zdobi naczynie, stołeczny wzięty grafik dostał od G&K pięć średnich krajowych.

– Gorąco. Napije się pan?

Uprzejmie odmawiasz. Wolałbyś pocieszyć się małą – grejpfrut albo malina. Nie masz jednak śmiałości, by posłać po nią naszą małą Natalkę, bo jak wszystkie pracownice G&K, jest zapewne wyzwolona i mocno tego świadoma. Poza tym to już żadna Natałka i wcale nie mała. Rzekłbyś: w pełni uformowana Natalia. Wyższa od ciebie o pół głowy.

Gapicie się na pulsujący kłęb nastolatek, jaki pośród okrzyków, oklasków i śmiechów przesuwa się nieopodal. W jego jądrze tkwi zdobny w kwiaty elektryczny wózek golfowy, którym przybyła tu, niczym karocą, jedna z księżniczek polskiej literatury Young Adult. Jej kierowca ma na głowie cylinder

i zawozi pisarkę pod stoisko wydawnictwa, z którym wasze G&K od lat toczy zacięty rynkowy bój. Zablokowana przez tłum, nie jest w stanie nawet wysiąść z wózka. Nad tłumem, niczym peryskopy YouTube'a i TikToka, falują ręce zbrojne w telefony.

– Jak ona się nazywa? – pytasz małą Natalię, nie odrywając wzroku od widowiska.

– Flora Pawlak – odpowiada cierpko. W jej głosie słychać ironię. – *Primo voto* Joanna Wyszyńska.

– Wyszyńską zmieniła na Pawlak? – Kręcisz głową z niedowierzaniem. – To jak oddać nowe Porsche za używaną Dację.

To twój wypróbowany sposób na zawodową zazdrość – tę francę, która tak często budzi cię po nocach. Zakpić z kogoś, z kim przegrywasz. Znieczulić zawiść szyderstwem, rozbroić ironią, skopać śmiechem. Potem łatwiej znosić upokorzenia. I zasnąć.

Teraz też odczuwasz ulgę, tym większą, że udało ci się rozbawić Natalię. Chichocze przez dłuższą chwilę, po czym mówi:

– Pomysł magików z promocji. Pawlak brzmi swojsko, pozwala małodatom identyfikować się z idolką. Słuchajcie, ludziska, ona jest taka sama jak my. Taka sama...

– A imię? – dopytujesz. – Skąd ta Flora?

– Flora to takie egzotyczne intro przed Pawlak. Dla efektu. Takie „łol!”. No i aluzja do dbałości o planetę. Flora... Rośliny, przyroda.

– Łol! – wykrzykujesz i Natalia znów się śmieje.

Tymczasem Flora z pomocą kierowcy, który zapewne jest też jej ochroniarzem, dociera do swojego stolika. Rozgrzane dziewczęta podsuwają książki do podpisu. Jedna za drugą,

jedna za drugą, jedna za drugą – jak na taśmie w fabryce fałszywych Adidasów pod Pekinem.

Zerkasz na Natalię kątem oka, dokonując dokładniejszej lustracji. To nie jest pierwsza lepsza dziunia z promocji. Wiek sugeruje raczej sumienną, pomijaną w awansach pracownicę działu sprzedaży. Może mieć ciut ponad trzydziestkę, ma rude włosy, piegi i blade policzki. Jest zgrabna tym rodzajem zgrabności, jaki uzyskuje się dzięki katorżniczym treningom w klubie fitness – na przekór diecie, genom i sile ciężenia. Jeszcze pięć–sześć lat temu wystartowałbyś do niej, nie bez szans na powodzenie. Oczywiście – chodzi o twoje pięć–sześć, nie jej.

– Wie pan, ile ona zarobiła na książkach tylko w tamtym roku? – pyta Natalia, wciąż wpatrzona w tłum fermentujący wokół Flory Pawlak.

Nie otrzymuje odpowiedzi. Milczysz, udając, że cię to nie obchodzi. Nie chcesz podsycać własnej goryczy. Więc i ona milczy, uznawszy zapewne, że albo wiesz, albo nie jesteś ciekaw. Zmienia zręcznie temat.

– Idę do Żabki po kawę. Kupić panu?

– Poproszę. Ja stawiam. – Wyłuskujesz z portfela kartę i podajesz Natalii. – Dwie torebki cukru, bez mleczka. I baton proteinowy. Dla pani też, jeśli pani lubi. Oraz... jeśli można... małąkę na pocieszenie.

– Na jakie pocieszenie? – Jest autentycznie zdziwiona.

Wskazujesz brodą na Flora Show, robiąc przy tym minę skrzywdzonego przegrywa. Ma to wyglądać na żart.

– Pan chyba żartuje – odpowiada, po czym pyta rzeczowo: – Grejpfrut? Cytryna?

Usłyszawszy odpowiedź, odchodzi, kręcąc tyłkiem wyrzeźbionym na orbitreku i zdyscyplinowanym dodatkowo

obcisłymi dżinsami. Po raz pierwszy od wielu miesięcy budzi się w tobie samiec. Unosi łeb, węszy przez chwilę, po czym znów zasypia.

TERAZ

Kroczysz zdecydowanie przez targowy plac i coraz bardziej drażni cię gwar gawiedzi, której wciąż przybywa. Jakby zapach dopiero co wydrukowanej książki był jakimś szczególnie afrodyzjakiem dalekiego zasięgu. Są tacy, którzy kupiwszy egzemplarz modnego autora, jeszcze przy stoisku wkładają nos między stronice, przewracając oczami z błogością. Zupełnie jakby zaglądali do garnka z rosółem albo do torby z nocnym wypiekiem. Świeża książka jak świeże pieczywo od Garbarka za rogiem. Niedaleko twojego domu znajdowała się kiedyś taka piekarnia – zabiły ją sieciówki.

Też kiedyś tak obwąchiwałeś swoich ulubionych: Małowską, Ryłskiego, Stasiuka, Twardocha, McEwana... A za szczeniaka Doktora Dolittle'a, Niziurskiego i Bunscha.

Mijas stoisko, przy którym autor w rogatym hełmie z plastiku rozdaje autografy fanom swojego cyklu o Wikingach. Mijas kolejne, obsługiwane przez dziewczynę przebraną za Sherlocka Holmesa: czapka typu *deerstalker*, doklejone wąsy, między zębami staroświecka fajka. Zresztą... czy istnieją niestaroświeckie fajki? No i – umówmy się – u Conan Doyle'a Sherlock nie miał wąsów.

Przechodzisz obok sceny, na której gwiazdeczka porannego pasma lokalnego radia zamęcza Wielkiego Reportażystę pytaniami o sens życia i istotę pisania. Pytania są tak egzaltowane i przeintelektualizowane, że Wielki Reportażysta ma wyraźny kłopot z ich zrozumieniem. Na wszelki wypadek

odpowiada gładkimi banałami z Facebooka. Publiczność rozłożona na leżakach jest wniebowzięta.

To zresztą jedyne tego dnia mocne nazwisko, dla którego byłbyś gotów przyjść na te targi, gdybyś nie przyszedł po coś innego. Choć i tak uważasz, że Wielki Reportażysta skończył się jako pisarz w dniu, kiedy dokonał buńczucznego *coming outu*. Właśnie wtedy porzucił literaturę dla toksycznej publicystyki, którą konsekwentnie dokucza rodakom, ze szczególnym uwzględnieniem katolików. Jakby mścił się na nich za to, że jest, kim jest. Na szczęście zdążył wcześniej napisać kilka sensownych rzeczy.

Tak to już bywa w miastach mniejszego kalibru: w targowym koszyku dwa, może trzy prawdziwki, a reszta – grzyby o znacznie niższej wartości kulinarnej. Nietrujące, ale niejadalne. Mimo to każdy chce spróbować. Wielu się zajada.

Napisałeś kiedyś w tekście dla branżowego portalu:

Producenci akapitów. Autorzy kryminałów od sztancy, płodzący po dwie powieści rocznie, każda dłuższa niż Trylogia Sienkiewicza. Wymyślacze smoków, skrzatów, wiedźm i duchów, które nieodmiennie przywołują zza siedmiu gór i siedmiu mórz lub odkrywają w opuszczonych sudeckich schroniskach. Celebryci ze swoimi autobiografiami napisanymi przez ghostów. Gwiazdy sportu z żelaznym przesłaniem: „Walcz, nie odpuszczaj”. Charyzmatyczne influencerki. Jak również cała chmara chałturników od samospelnienia, kreowania wizerunku, harmonijnego życia oraz mindfulnessu. No i literatura podróznicza, jakby wciąż trwał wiek dziewiętnasty i nie wymyślono wczasów last minute ani Google Earth.

To był ostatni komentarz, jaki zamówił u ciebie branżowy portal. „Obcięli nam budżet na honoraria” – wytłumaczyli się w mailu. Gdy zaproponowałeś, że jesteś gotów pisać za darmo, nie odpowiedzieli.

Zatrzymujesz się i wysyłasz do siebie esemesa:

Prawdziwki i nietrujaki.

WCZEŚNIEJ

Do twojego stolika z *Anonimową* nadal nikt nie podchodzi. Wszystkie targowe strumienie odpłynęły w jednym tylko kierunku, by wybić gejzerem, który unosi teraz Florę Pawlak.

Oczywiście, że jesteś ciekaw, ile zarobiła w minionym roku. Sięgasz po telefon. Google odpowiada po kilkunastu sekundach. Jezus Maria! Aż tyle? Tylko w rok?!

A i tak zajęła dopiero trzecie miejsce w topce topek, ustępując na podium Sofii Krawczyk i Cezarynie Cieśli. Legendarny Albin Chłodny ze swoją serią kryminałów o komisarzu Maurerze zajął dopiero czwarte miejsce.

Tylko w rok Flora Pawlak zarobiła równowartość czterystu stypendiów, które co miesiąc wpływają na twoje konto z urzędu miasta. Wydeptałeś je sobie kilka miesięcy temu, gdy z lodówki zaczęła wyglądać szpetna gęba biedy, a każde awizo mogło oznaczać kolejne ponaglenie do zapłaty.

Od dobrych dwóch lat jedziesz na jednej łyżwie, marząc, by móc postawić na lodzie drugą stopę i dojechać jakoś do bandy.

A przecież piszesz o niebo lepiej od całej tej topkowej czwórki. Mógłbyś być ojcem każdego z tych dzieciaków, a może nawet dziadkiem. Do kurwy nędzy, czy facetowi w twoim wieku nie należy się wreszcie od losu odrobina prestiżu i poczucia finansowego bezpieczeństwa?

Tylko w rok. Tyle pieniędzy. Tyle pieniędzy...

Taki kapitalik pozwoliłby ci porzucić swoje rodzinne miasto i przenieść się na drugi koniec Polski. Mazury – nie inaczej.

Ale żadne tam ekosiedlisko czy agrozagroda, gdzie trzeba harować jak wół, a zimą jest się odciętym od świata. Ty kupiłbyś skromne mieszkanie w Mrągowie, Rucianem-Nidzie albo Piszcu. Nic wielkiego, maksimum dwa pokoje. Z kawałkiem zieleni za oknem i najlepiej na parterze, bo nigdy nie wiadomo, czy na starość nie skończysz na wózku. W środku muzealna biel i asceza moderny. Skóra i egzotyczne drewno. Starczyłoby jeszcze na SUV-a i wędkarską łódź z kabiną.

Spałbyś do dziesiątej, chadzał na pączka i kawę do kafejki stylizowanej na żeglarską, gdzie skrollowałbyś niusy, czytał papierowe tygodniki, hejtował na X-ie, flirtował z kelnerką albo gaworzył z właścicielem o polityce. Potem obiad w barze z domowym jedzeniem i obowiązkowa drzemka, która przedłuża życie.

Wieczorami czytanie prozy przy Coltranie albo Mahlerze. Co jakiś czas łódka, wędkę, rower, ognisko, wódeczka w rubasznym gronie. Raz na miesiąc wizyta w stolicy – w pełnym rynsztunku elegancji. Teatr, kino, spotkanie autorskie – koniecznie nazwisko grubej ryby. Potem wyrafinowana, lecz pożywna kolacja i dobry hotel. Niewykluczony masaż *body to body*. Rzecz jasna – z happy endem.

Nieprzyzwoicie zdrowy jak na swój wiek i wciąż krzepki, mógłbyś tak dożyć stu lat.

Na turystycznym krzeselku Natalii dostrzegasz rozłożony okładkę do góry egzemplarz *Anonimowej*. No proszę – masz kolejną czytelniczkę. Musiała czytać ukradkiem, tak, żebyś nie zauważył. Albo wtedy, gdy znajdowałeś się na scenie. Coś trzaska ci pod sercem – jak krzesiwko zapalniczki.

Sprawdzasz, do której strony doszła. Czterdziesta ósma. Całkiem daleko. W tym rozdziale lekarka donosi na policję,

że jej mąż jeździ autem bez ważnego ubezpieczenia i badań technicznych.

Odkładasz książkę na miejsce.

Spod blatu wystaje przytrzaśnięta szufladą smycz służbowej plakietki. Odsuwasz szufladę i wydajesz zawieszkę. Zdjęcie jak zdjęcie – jedno z tych zrobionych przez automat, na których człowiek wygląda jak neandertalek.

Natalia Wiśniewska. Brzmi pogodnie. Letnio. Słodko.

Sięgasz po telefon i odszukujesz ją na Facebooku.

Żadnych unijnych gwiazdek, żadnych błyskawic czy kotwic walczących. W rubryce „W związku” wpisane: „Wolna”. Sam nie wiesz, dlaczego, ale ta informacja przynosi ci ulgę. Wchodzisz w folder ze zdjęciami. Liczne targi książki i zawodowe eventy. A do tego maratony, armadzedony, rowery, fitness, uśmiechy. Witalność, energia, zdrowie. Jest nawet ring bokserski – Natalia sparuje z instruktorem wyższym od niej o dwie głowy. Potem jakaś alpejska ścieżka z łańcuchami i swojska Orla Perć, rozpoznajesz drabinkę na Koziej Przełęczy, też kiedyś trząśłeś tam tyłkiem. Tyle że ty chodziłeś bez uprząży.

Z tymi rudymi włosami Natalia przypomina ci pełną życia i radości wiewiórkę. Przez kilka chwil zastanawiasz się, czy gdybyś miał już tę łódkę i mieszkanie w Rucianem, ona dałaby się zaprosić na rejs po Beldanach. Albo na wycieczkę rowerową wokół Jeziora Mokrego. Smażone okonki w wiosce Zgon, rzemieślnicze piwo, slit focie pstrykane kijkiem do selfie.

Onanizujesz się tym urojeniem, po czym natychmiast się ganisz. Wyzywasz sam siebie od niedorzecznych starców. Chciałby dziad do nieba – a tu ani drabiny, ani skrzydeł.

I wtedy – sam nie wiesz dlaczego – wysyłasz jej zaproszenie do znajomych.

A niemal w tej samej chwili wpadasz na pomysł, który zatruje ci najbliższe osiemnaście miesięcy życia. Choć wtedy sądzisz jeszcze, że ci to życie uporządkuje i dosłodzi jak turecką herbatę.

TERAZ

To, co półtora roku temu przebierało tu zaledwie nóżkami, dziś rozsiadło się w pozie zwycięzcy i liczy lajki oraz zasięgi. Ale nie do końca przecież.

W rogu targowego placu, niedaleko rzędu ToiToi-ów, przycupnęło kilka namiotów wydawnictw z ambicjami. Tak zwanych butikowych. Ich nienachlana obecność przywodzi ci na myśl wróble zamknięte w wolierze z papugami. Jakby wstydziły się, że w ogóle tu trafiły.

Ich przedstawiciele lubią mówić o swoich firmach, że są „niekomercyjne”. Brzmi to jak „honorowy dawca krwi” i stanowi całkiem dobre alibi dla braku pieniędzy oraz niskich zaliczek autorskich. Nie przywożą ze sobą swych najlepszych nazwisk, bo to kosztuje, a okładki ich książek są surowe, intelektualnie wyuzdane i skupione na metaforze. Dlatego strumień publicznej uwagi zaledwie obmywa ich stoiska i pędzi dalej.

Ambitnych brzydzą też sztuczki reklamowe. Tylko przy jednym z tych namiotów sympatyczna grubaska z fryzurą na pazia częstuje cię ułożonymi na tacy pulchnymi ciasteczkami, które wyglądają, jakby odlano je w prążkowanej skorupie muszli. Ale ty nie sięgasz po magdalenkę. I tak nie byłbyś w stanie nic przelknąć. Nie teraz.

Na moment zajmuje cię myśl, jak wielkie spustoszenie spowoduje za kilka lat w tym środowisku sztuczna inteligencja. Jakby oglądać targi pagerów na miesiąc przed wprowadzeniem telefonów komórkowych – porównanie wydaje

ci się na tyle trafne, że chcesz wysłać do siebie esemesa. Ale rezygnujesz. Za dużo pisania, a ty jesteś leniwy. Jak każdy człowiek pióra. Pracowici są tylko grafomani.

„Literatura zamieni się w zestaw słów starannie wybieranych i weryfikowanych przez kolejne generacje ChataGPT. Stanie się tym, czym komponowana przez komputer muzyka do supermarketów” – napisałeś jakiś czas temu w felietonie dla lokalnej redakcji. „Algorytm, niczym feldfebel w pruskiej armii, ustawi wyrazy w poprawny marszowy szyk – tylko że ja nie będę już chciał oglądać tych defilad”.

Felietonu nawet nie mogłeś podlinkować, bo poszedł wyłącznie w papierze, którego nikt już nie czyta. Zapłacono ci za niego równowartość obiadu w studenckiej stołówce. I to takiego bez zupy.

WCZEŚNIEJ

Gdy Natalia wraca z zakupami, wskazujesz brodą na otwarty egzemplarz *Anonimowej* i pytasz, czy czyta z nudów, czy z uprzejmości.

– Dlaczego miałabym czytać pana książkę z uprzejmości? – dziwi się.

– Wyznaczyli panią do całodzienniej asysty, więc może chciała być pani dla mnie miła.

Marszczy brwi i posyła ci spojrzenie aktywistki z marszów kobiet.

– Owszem, bycie miłym to jeden z moich służbowych obowiązków. Lecz nie należy do nich czytanie książek pisarzy, którym asystuję na targach.

Znów czujesz się zawstydzony – i słusznie. Jakim trzeba być pawiem, aby pomyśleć, że nieznajoma i dużo młodsza kobieta czyta twoją książkę tylko po to, aby ci sprawić przyjemność. Ale skoro nie dla przyjemności twojej, to może dla...

Jakby czytała ci w myślach, oświadcza:

– Jeżeli coś czytam nie z obowiązku, to dlatego, że mi się podoba. Oczywiście, najpierw musi mnie zaciekać.

– Rozumiem, że *Anonimowa* spełnia oba warunki?

– Owszem. – Jej głos znów staje się przyjazny, a twarz pogodnieje, już nie jest aktywistką z marszów. – Chociaż... – waha się, czy dokończyć.

– Chociaż?

– Trochę za długie zdania. No i te opisy – krzywi usta. – Też takie długie. Choć plastyczne i jędrne.

– Skłonność do orzeszkowania to jedna z moich pisarskich wad. – Puszczasz do niej oko, lecz ona nie chwyta żartu. Najwidoczniej nigdy nie kazano jej brnąć przez łągi i łąki doliny Niemna. Albo taka was dzieli mentalna przepaść w pojmowaniu tego, co zabawne.

– Ale do końca dojdę. Potrafi pan w napięcie – zapewnia.

W twoich uszach brzmi to filuternie: „Dojdę”, „Napięcie...”.

– Jestem zaszczycony. – Kłaniasz się zamaszycie, może aż nadto. Potem odzierasz batona z papieru i dyskretnie ukręcasz łeb małpce. Zakrętka wydaje ciche chrupnięcie. Lubisz ten dźwięk.

Natalia tymczasem rozkręca się, aż dziwisz się jak bardzo. Jakby nie była robotnicą marketingu, lecz recenzentką renomowanego tygodnika, która nie chodzi na kompromisy.

– Najczęściej odbijam się od książki już po pierwszym rozdziale. Wszystko jest dziś przereklamowane, oszukane. Recenzenci nie czytają tego, co wychwalają. A dziennikarze dyskutują potem o powieściach, które znają wyłącznie z tych skłamanych recenzji. Influencerzy od kultury biorą po tysiąku za recenzję na Facebooku, po czym przepisują pseudomłodzieżowym językiem banały ze skrzydełek. Przed wnikliwszą analizą bronią się tym, że nie chcą spojlerować. Znaczą... zdradzać treści. Bo dziś fabuła musi non stop trzymać czytelnika w napięciu, a potem zaskoczyć jak sraczka w kościele. Wbić w ziemię, zaorać, rozwalcować, rozwalić – wymienia ze złością, robiąc palcami cudzysłowy w powietrzu. – To jest chore. Nadmiar. Przesyt. Nadprodukcja. A czytać nie ma co – kończy i głośno siorbie kawę przez szparę w wieczku, nie dbając o konwenanse.

– Jak to nie? – Toczysz ręką wokół z udawaną powagą. – A to? Tu wystawionych jest chyba z tysiąc tytułów.

Przewraca oczami, posyłając ci minę „proszę mnie nie rozśmieszać”. Chyba się polubiliście. Unosisz buteleczkę z wódką:

– Pani zdrowie! – Pociągasz zdrowo. Wódka zajężdża cytrynową chemią, nie przeszkadza ci to. Przelykasz, chuchasz, dopowiadasz:

– I podziękowanie.

– Podziękowanie?

– Tak, bo dzięki pani podjąłem pewną ważną decyzję.

– Tu? Teraz? Dzięki mnie? – Zaskoczona wyznaniem, węszy podstęp, może jakiś obciachowy podryw. Na powrót staje się aktywistką. – Jaką decyzję, jeśli można wiedzieć? – pyta sucho.

– Przepraszam – kładziesz rękę na sercu, jakbyś prosił o wybaczenie, ale jednocześnie coś obiecywał – ale nie można. Jeszcze nie teraz. Przyjdzie na to czas.

Przyjdzie na to czas?

Brzmi jak zapowiedź kolejnego spotkania. Owszem, wódka tańczy ci już w głowie, ale czy aby się nie zapędzasz?

Kobieta wzrusza ramionami, jakby chciała okazać, że są jej obojętne twoje sekrety i lepiej, żebyś trzymał je od niej z daleka. Wyjmuje ci z dłoni małąpkę, zdejmuje wieczko z kawy i dolewa do niej resztę wódki. Zwraca ci pustą buteleczkę, jak kelnerowi, który ma ją wyrzucić, i unosi kubek.

– Zdrowie! – woła zadzierżyście. Ma nieźle uformowany biceps. Kulka mięsa pod skórą, która długo jeszcze pozostanie jędrna. Zero budyniu. – I proszę mi mówić na ty.

– Wymagam zatem tego samego. – Dostakujesz do niej z dłonią i uśmiechem.

Wyjmuje z kieszeni rulon dropsów, przykładą go do ust i zgrabnym ruchem kciuka wyluskuje jednego.

– Miętusy – wyjaśnia. – Chłopaki z wydawnictwa przyjadą zaraz składać ten majdan i wracamy do Warszawki. Lepiej, żeby nie poczuli. – Mruga konspiracyjnie, a ty jej równie konspiracyjnie odmrugujesz.

Tak, polubiliście się na pewno. Na koniec dnia wymieniacie się nawet numerami telefonów.



Tej nocy, w łóżku i ze smartfonem w dłoni, odbywasz kilka podróży do krain, o jakich istnieniu nie miałeś zielonego pojęcia. Poznajesz fenomen Wattpada, który ma już prawie dwadzieścia lat, co w świecie cyfrowym równa się dwóm wiekom świata realnego i kilku rewolucjom. Stories you'll love – sto milionów młodocianych czytelników, pisarzy i recenzentów pod jednym adresem! Jak to możliwe, że przeoczyłeś?

Pamiętasz jeszcze, jak absurdalnie długo czekało się na druk książki, gdy byłeś w wieku pisarzy z Wattpada. Cztery, nawet pięć lat. Pamiętasz, że aby uzyskać kopię tekstu, należało pisać na maszynie przez kalkę – i jak niewyraźnie wyglądała ostatnia odbitka. Pamiętasz ostry zapach farby w drukarni, litery odlane w ołowiu i ciężką bryłę kalandra. Pamiętasz zecerów, łamaczy, linotypistów, z którymi składaliście się na pół litra podczas nocnych dyżurów w redakcji.

Jesteś tak urzeczony, że mógłbyś uklęknąć przed Allenem Lau i Ivanem Yuenem – twórcami Wattpada – oraz tymi, którzy dali im na to pieniądze. Tak, jak czasami klęczysz w przedpokoju przed drzwiami, ponieważ kobieta, z którą miałeś romans, zawiesiła nad nimi niewielki krucyfiks.

Modlisz się wtedy krótko i swoimi słowami, prosząc o jedno – o odmianę losu.

Czytasz też próbki Young Adult. Owszem, egzaltowane i łatwe do obśmiania, ale ich gramatyka i styl nie odbiegają od tego, czym karmią cię na co dzień robotnicy rozszczeranej maszyny medialnej. Może to zatem żadna literacka tragedia? Ty nie z tych przynudzających o starych dobrych czasach i wysyłają znajomym hasła w rodzaju: „Kiedyś było jakoś inaczej”. Czy *harlequiny* zamordowały przed laty polską prozę? Co najwyżej pisarze nominowani do Nike zaczęli pisać jeszcze bardziej pokrętnym językiem – żeby się odróżnić.

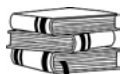
A może po prostu szukasz teraz alibi dla pomysłu, za który wzniosłeś toast z Natalią?

Przy okazji wchodzisz też dwa razy na jej profil – nie mając właściwie pojęcia, czego się po tych odwiedzinach spodziewać. Ale tam nie ma dla ciebie nic miłego. Niemilego też nie.

Wysyłasz do siebie z łóżka hasłowe esemesy, średnio co dziesięć minut. Niektóre zawierają linki. Zасыpiasz o trzeciej nad ranem niespokojnym snem człowieka, który dowiedział się właśnie, że ziemia jest okrągła.

Rano robisz sobie mocną kawę, siadasz do laptopa i otwierasz linki. Czytasz artykuły dokładnie i do końca. Spisujesz treść nocnych esemesów, zamieniając je w wątki, które następnie rozwijasz. A to, co rozwinąłeś – przedstawiasz i porządkujesz. Po godzinie wyłania się z tego całkiem sensowne streszczenie powieści. Wciskasz „Drukuj” i idziesz do kuchni zrobić sobie w nagrodę drugą kawę.

W kilka sekund po tym, jak milknie drukarka, słyszysz charakterystyczny brzdęk powiadomień Facebooka. Biegniesz do pokoju. Natalia przyjęła zaproszenie do znajomych.



Właściwie powinienes teraz dobijać się telefonicznie do Robaczywki, ale przypominasz sobie, że jest poniedziałek. W poniedziałki od rana pół Polski leczy kaca po weekendzie, a druga połowa wyżywa się w zawodowym ADHD wzbudzonym poczuciem winy za dwudniowe lenistwo. Telefony, maile, ponaglenia, wezwania, ustalenia, *executive meetings*, gwałtowne wzrosty albo jeszcze gwałtowniejsze upadki Warszawskiego Indeksu Giełdowego. To napięcie opada gdzieś tak w porze lunchu, więc postanawiasz wykorzystać te kilka godzin, aby odespać noc. Kawa dawno z ciebie wyparowała – zasypiasz kamieniem.

Po przebudzeniu, pokrzepiony i głodny jak wilk, wysyłasz do Robaczywki esemesa:

Chciałbym jutro pogadać. Pilne. Dziesiąta? Skype?

Odpisuje bezzwłocznie:

Okej.

A ty robisz sobie podwójną chińską zupkę z torebki, wkrawając do niej kilka plasterów konserwy turystycznej, tej z pyszną galaretką. Razem jakieś tysięcy kalorii.

A potem leniuchujesz, słuchając albumu *Kujaviak goes funky* Namysłowskiego. Pomyśleć, że facet wyczyniał takie cuda na saksofonie, gdy ty miałeś dziesięć lat. Tak, świat naprawdę nie zaczął się wczoraj. Kiedyś na prywatny użytek, dla sportu, próbowałeś opisać jazz tak, jak niektórzy opisują

koncerty symfoniczne – z maestrią i pokazaniem sedna. Po kilku zmiętych kartkach wiedziałeś już, że próba cię przerosła.

Robaczywka naprawdę nazywa się Jan Śliwka. To prezes zarządu G&K, wydawca twojej *Anonimowej*. Zahartowany zuchwalec wolnego rynku z czasów, gdy przez krótką chwilę po upadku komunizmu naprawdę był on wolny. Kondotier wynajmowany latami przez rozmaite redakcje i oficyny, żeby im podkręcał sprzedaż i czyścił „chwasty”, jak sam nazywał autorów nieprzynoszących zarobku. A także, aby pozyskiwał lub odkrywał tych, którzy rokują. Przy czym słowo „pozyskać” oznaczało w jego słowniku przekupstwo, szantaż lub oszustwo.

Na pięć lat przed emeryturą osiadł na tłustym kontrakcie w G&K, które rozsadzał energią i dosadnością starego wiarusa. To on śmiał zlikwidować w tej subtelnej oficynie dział literatury skandynawskiej, powołując w jego miejsce Young Adult Section zaludnioną przez wiotkie dzieciaki o fioletowych włosach. Wart każdych pieniędzy – choć niekoniecznie przyjaźni.

Znacie się jeszcze z czasów, gdy dla norweskiego koncernu reformował pakiet gazet regionalnych zakupionych przez Skandynawów. Także tej, w której kierowałeś działem reportażu. Reformy polegały na ujednoliceniu szaty graficznej, zgłajszachtowaniu treści, zwanych od teraz kontentem, i obdzieraniu ich, niczym zająca ze skóry, z wszelkiej oryginalności oraz, nie daj Bóg, literackich ambicji. Do tego dochodziły uporczywe szkolenia kadry – co miesiąc dla innej redakcji.

W praktyce sprowadzało się to do trzydniowego wyjazdu całego zespołu do atrakcyjnej miejscowości turystycznej. Karpacz, Łądek, Międzyzdroje... Chłanie zaczynało się już w autokarze i trwało do rana. Drugi dzień poświęcano

spotkaniom z kołczem od motywacji albo kimś z tej bandy. Nie mieli lekko ze skacowanym dziennikarskim bractwem, a to jak mało kto jest wyczulone na błagę. Wieczorem znów biesiada i picie, nierzadko z udziałem samych kołczów. Trzeciego dnia – nauka pracy zespołowej w terenie, czyli paint ball lub coś równie trywialnego – i powrót.

Z punktu widzenia ekonomii było to wyrzucanie pieniędzy w błoto i tak naprawdę swoje zyski, o ile je miały, zawdzięczały gazety koncernu wprowadzonym przez Śliwkę drastycznym cięciom personalnym oraz finansowym. Zbójeckie obniżki honorariów, redukcja personelu, wymiana szefów na głupszych, wypychanie dziennikarzy z umów o pracę na samozatrudnienie. To wtedy obdarzono Śliwkę przezwiskiem Robaczywka, o którym wiedział i które zdawało się nieodmiennie go bawić, a nawet podsycać jego menadżerskie ego.

Ty też zostałeś zmuszony do założenia własnej firmy, która składała się z komputera, dziesięciu cyfr Numeru Identyfikacji Podatkowej oraz adresu, dzięki czemu mogłeś wrzucać w koszty jedną trzecią czynszu oraz opłaty za internet.

Początkowo zleceń było nawet sporo i jakoś wiązałeś koniec z końcem. Lecz z czasem twoje półliterackie reportaże, felietony z kluczem i recenzje ambitnych tytułów zaczęły uwierać nowe szefostwo. Zamawiano coraz mniej, odrzucano coraz częściej, płacono coraz haniebniej.

Mimo to polubiliście się ze Śliwką – może dlatego, że masz tęgi łeb i zawsze dotrzymywałeś mu kroku podczas firmowych ochłajów. Podobno cenił też twoje dawne reportaże oraz to, że znasz tyle kawałów.

Dlatego, gdy rok temu, już jako prezes G&K, zatwierdzał do druku twoją *Anonimową*, podpisując z westchnieniem

rezygnacji wypłatę zaliczki, której – jak słusznie przewidywał – nie zdołasz odrobić ilością sprzedanych egzemplarzy, odeszła ci cała uraza. Podpis złożył za namową urzeczonego twoją powieścią redaktora prowadzącego, którego i tak pół roku później wyrzucił na zbity pysk.

SPIS TREŚCI

TERAZ	5
WCZEŚNIEJ	8
TERAZ	15
WCZEŚNIEJ	18
TERAZ	22
WCZEŚNIEJ	24

Poznaj inne nasze książki:
Tożsamość Andrzeja K. – Błażej Torański

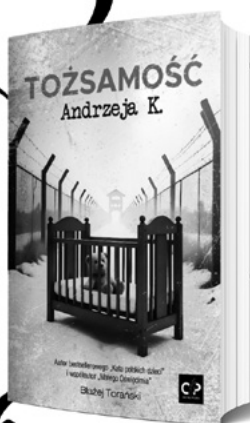
**Wspomnienia z obozu
koncentracyjnego**

Prawdziwa historia

Wywiad

Reportaż

W poszukiwaniu prawdy



Opowieść o człowieku, który szuka odpowiedzi na pytanie, kim jest. Dramatyczna walka o własną tożsamość. Wojenna trauma i pamięć wojny. Jak wpływa na resztę życia? Jak je naznacza i warunkuje? Jak samotnym pozostaje człowiek ze swoją podartą, wybrakowaną i naznaczoną stratą biografią? Ze strzępami historii, których nie da się zszyć tak, aby stworzyły jeden w miarę kompletny obraz przeszłości?

Łzy Sybiru – Dorota Pietruszka



„Łzy Sybiru” to opowieść tocząca się między dziecięcym szeptem akrzykiem historii. Na tle skutej lodem Syberii wybrzmiewa cichy głos polskiego dziecka wyrwanego z domu, rzuconego w świat głodu, mrozu i bezsilności. To nie tylko świadectwo cierpienia, lecz także pieśń o przetrwaniu, o miłości silniejszej niż śmierć; o nadziei, której nie zdusiła najgorsza zamięć.

To książka, która nie pozwala zapomnieć.

To słowa, które zostają w sercu jeszcze długo po przeczytaniu ostatniej strony.

**Zajomość barterowa –
Monika Malita-Bekier, Natalia Waszak-Jurgiel**



**Jakie konsekwencje niesie za sobą
jeden mały odruch szaleństwa?**

Pozornie nic nieznaczący akt odwagi staje się początkiem gorącej znajomości Darii i Kuby. Ona – z brakiem wiary w swój urok. On – z wiecznie otaczającym go wianuszkiem kobiet. Umawiają się na układ, którego żadne z nich wcale nie chce.

Jest jeszcze ta druga – babcia Elżunia, aparatka w każdym calu, nadobna wdowa po siedemdziesiątce. Po latach samotności jej serce zabiło mocniej dla niejakiego Lesia.

Bohaterowie nawet nie zdają sobie sprawy, że odtwarzają główne role w teatrze życia. A gra toczy się o najwyższe stawki: miłość i szczęście.

Autorki barterowego majstersztyku zapraszają do lektury, obiecując łączy śmiechu i wypieki zawstydyzenia...

Intymne życie Moniki P. – Dawid Przybysz



Mam na imię Monika i opowiem Wam swoją historię – bez upiększeń i bez cenzury.

Po trzydziestce zorientowałam się, że moje życie wygląda lepiej z zewnątrz niż od środka.

Pracę mam dobrą, ale szef lubi sypać obleśnymi tekstami. Mój specyficzny mąż przejawia dość dziwny fetysz, o którym przeczytacie później. Jedyne, czego możecie mi pozazdrościć, to przyjaciółki – oddane, zabawne i szczere.

Gwarantuję śmiech, łzy i seks. Taki, co daje bliskość – i taki, po którym zostaje tylko konsternacja.

To książka o kobietach ratujących się nawzajem, kiedy reszta świata zawodzi.

I na koniec mała prośba: nie dawajcie tej książki do przeczytania swoim facetom – niech lepiej nie wiedzą, co tak naprawdę o nich myślimy...

Antologia z miłością – zbiór opowiadań

Opowiadania polskich autorów



Czym jest miłość?

Na to pytanie nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Ilu autorów, tyle definicji i wyobrażeń.

Ta antologia eksploruje miłość w jej najpiękniejszych i najtrudniejszych odsłonach. Tej, która daje poczucie bliskości i szczęścia, oraz tej toksycznej i skazanej na niepowodzenie. To wybór historii, które poruszają i intrygują, wywołują uśmiech, zadają ból, pozostawiają cień tęsknoty...

To opowiadania o relacjach z innymi – nie tylko z ludźmi – o pragnieniu bycia zauważonym, docenionym i pokochanym, o nadziei, która wraca, i o pytaniach, na które czasem nie chcemy znać odpowiedzi.

Czy odważysz się z nimi zmierzyć?

Antologia z dreszczykiem – zbiór opowiadań



Zamknięte drzwi. Kroki na schodach. Cisza dzwoniąca w uszach.

Ta antologia z dreszczykiem zabierze Cię w miejsca, w których zwykła codzienność pęka jak cienka szyba, odsłaniając coś dużo mroczniejszego. W tych opowieściach śmierć nie zawsze oznacza koniec. Czasem bywa początkiem zemsty albo przestrogą. To, co ukryte za ścianą, może znać Twoje imię. Zwykły zakręt na drodze okazuje się granicą między światami. Niepokojący sen staje się rzeczywistością, z której nie ma już ucieczki. A choroba – choć zabiera nadzieję – może się okazać początkiem jeszcze większego koszmaru. Opowieści, które nie krzyczą, tylko szepczą długo po zmroku.

Światło w korytarzu nagle staje się koniecznością, ale czy na pewno uchroni cię przed tym, co czai się w ciemności?

Zajrzyj do naszego sklepu:
www.ostre-pioro.pl